

W przeddzień sylwestra w warszawskim Teatrze Polonia zacznie się nietypowy „Dancing”.

KRYSTYNA JANDA opowiedziała nam nie tylko o tym przedstawieniu

Jerzy Satanowski, Jarosław Staniek, pani w towarzystwie tancerzy i wiersze Marli Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej... Krystyna Janda: Może wyjść bardzo pretensjonalnie (śmiej)...

W swoim teatrze chce pani łączyć sprzeczności?

To będzie przedstawienie na sylwestra, karnawał, bo tradycją stało się, że robimy publiczności z tej okazji prezenty. Ale będzie smutne... mimo usilnych starań o wesołość. Po raz pierwszy zrobiliśmy z Jurkiem Satanowskim „Dancing” 28 lat temu. Byłam początkującą aktorką, on zaczynał jako kompozytor. Przyszedł do niego z pomysłem, żeby zrobić coś z „Karnetu balowego” Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Powstało widowisko telewizyjne, płyta – do dziś można ją kupić. Teraz doszliśmy do wniosku, że warto wrócić do tej poezji, bo w jego i w moim życiu zmieniło się tyle, że znaczy ona dla nas zupełnie co innego. Zaczęłam znowu czytać te wiersze i na nowo zachwyciłam się ich urodą. Przede wszystkim tych, z których wcześniej zrezygnowaliśmy, bo były o śmierci i przemianach, nieuchronności losu, który tylko na chwilę daje szczęście, bo zapomina, z kim ma do czynienia. W spektaklu pojawi się choćby „Przekwitła tancerka”, do której wcześniej nie dorosiliśmy. Wówczas wykreślone wiersze stają się esencją dzisiejszego spektaklu. Trzeba inaczej czytać tę poezję, dlatego powstała też nowa muzyka, moim zdaniem, zjawiskowej urody. Wydawało nam się z początku, że ten powrót do dawnego tematu i tworzywa będzie prosty. Okazało się, że nie jest proste, bo całe życie minęło, wszystko jest inaczej. Powstaje widowisko, którego się nie spodziewaliśmy.

Skąd na nie pomysły?

Nasz teatr potrzebuje przedstawienia muzycznego. W przyszłym sezonie Agnieszka Glińska robi „Bagdad Cafe”. Historię znamy ze słynnego filmu. To będzie wersja muzyczna, grana w teatrach muzycznych na całym świecie. Dziś właściwie klasyk. A „Dancing” mieści się między gatunkami. Poezja i bardzo specjalna muzyka, opowieść teatralna z baletem czy teatrem tańca Jarosława Stańki. Im więcej mówi się o kryzysie i pieniądzech, tym bardziej widać, że ten naród szczerze potrzebuje poezji. To obłęd – wszystkie sale, gdzie czyta się wiersze, pękają w szwach. Na Krakowski Salon Poezji od rana ustawiają się kolejki. A Pawlikowska i jej poezja to potęga, ma specjalne miejsce w duszach Polaków.

Jakie to będzie przedstawienie?

Błyskotliwie dowcipny Wiktor Zborowski wszedł wczoraj na fragment próby i za-

krzyknął: „Pani prezes w rewii!!! Już mi się podoba!” Mam nadzieję, że będzie jedynym, który tak to zobaczy. O czym przedstawienie? O radości, potrzebie radości, miłości, ale też o przemianach, starości i jesieni. Ostatnie frazy brzmią „Już zwiedły kwiaty w buklicie/ Wydartym mi siłą z dloni./ Życ mi nie dajecie/ Lecz umrzeć nikt mi nie wzbroni”. Wiele w tym smutku i goryczy. Jak w poezji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej z tego okresu. Ciekawie mnie i muzykę Jerzego Satanowskiego kontrapunktuje Jarosław Staniek, przedstawienie to jego świat wyobraźni. Uparłam się, żeby być w stylowej sukni, bo taniec jest tak współczesny. To prawdziwie wspólna praca. Końcową pieśń złożyliśmy z wiersów bodaj 18 wierszy.

Stereotyp spektaklu na sylwestra mówią, że to powinna być farsa, z muzyką, owszem. A pani proponuje poezję Jasnorzewskiej. Dochodzę do wniosku, że w Teatrze Polonia pani wolno wszystko.

Może nie wszystko, ale zapracowaliśmy na wielki kredyt u publiczności. Bardzo mnie to cieszy, jestem dumna, a jednocześnie każdego dnia budzę się z lękiem, co będzie dalej. Jak długo to będzie trwać? Co mam robić, żeby ludzie na scenie i na widowni wciąż byli w uniesieniu? Zaplanowałam kolejny sezon. Nawet i następny w zasadzie. Nigdy, również jako aktorka, nie miałam problemów z wyborem tytułów. Wydaje mi się, że mam potrzeby podobne do publiczności. Wybierałam te tytuły, które sama chciałabym zobaczyć. Ale co dalej?

Proszę wymienić choćby trzy pani ulubione przedstawienia Teatru Polonia.

Bardzo lubię „Stefcję Cwiek...” – nasz pierwszy spektakl. Ten bałkański, abstrakcyjny rodzaj poczucia humoru, w Polsce rzadko spotykany, sprawdził się doskonale. To dla mnie niespodzianka. „Stefcia” jest wciąż grana przy pełnych salach i ma się świetnie. Wciąż lubię „Ucho, gardło, nóż” – rzecz o wielkim temacie, a bardzo ich teraz brakuje. Żal mi „Wątpliwości”, z powodów losowych od kilku miesięcy nie stanął na należnym mu miejscu. Mam nadzieję, że do niego wrócimy. Uwielbiamy z Jerzym Trelą grać w „Szczęśliwych dniach”. To skromne ciche przedstawienie – i na scenie, i na widowni. Zupełnie inne od „zwykłych” produkcji tego teatru. Trudno mi to wszystko ocenić, bo traktuję nasze spektakle zbyt emocjonalnie. Uwielbiam patrzeć na aktorów, kiedy przychodzą tu grać, tych z „Grubych ryb”, są tacy jaśni, radośni, jakby szykowali się do dawania prezentów publiczności. Obsady przedstawień trzymają się razem. Obsada



Chciałabym trochę

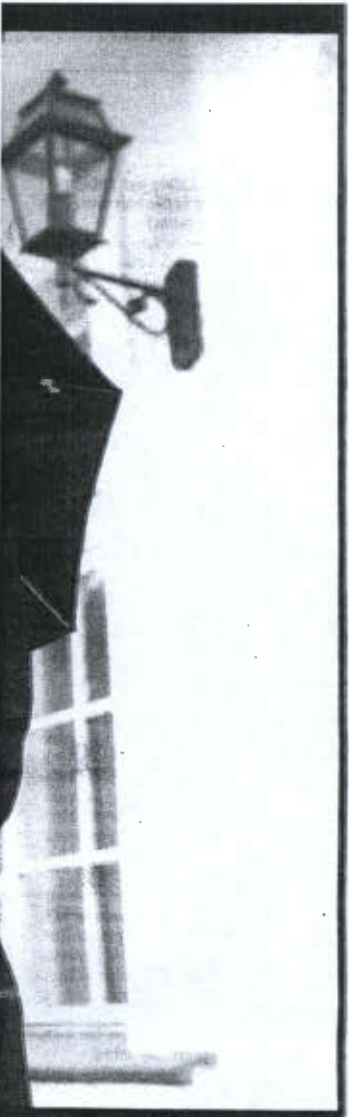
„Boga” zdominowała teraz teatr. Tworzą się odrębne towarzystwa. Rodzą się przyjaźnie, ludzie podają sobie dzieci do chrztu. Tu sprawy toczą się inaczej niż zwykle w teatrach. Inaczej, niż wymaga tego rutyna. Wydaje mi się, że robią dla tego miejsca dużo więcej, niż muszą...

Dla tego miejsca czy dla pani?

Grają i są tu nie dla mnie. Są dla siebie i to nam pochlebia. Z każdą nową produkcją zjawiają się nowi aktorzy i po miesiącu są „nasi”, mówią, że uwielbiają tu przychodzić, że

w tym teatrze czują się świetnie. Przyjaźnią się z zespołem technicznym, który wszystkiego uczył się od zera. Trzy lata temu inżyniera metalurga uczyłam być maszynistą, dziewczyny po polonistyce i teatrologii – inspicjentkami, dziewczynę po prawie – suflerką. Ci młodzi ludzie są ze mną cały czas. Po tem przyszły osoby doświadczone, choćby moja dawna garderobiana z Powszechnego, dostosowały się do młodzieży, do atmosfery. Selekcja jest naturalna. Kiedy ktoś nie dostosowuje się do tych zwyczajów, odchodzi sam. Są tacy, którzy prawie stąd nie wycho-

FOT. ROBERT JAWORSKI/FOTUM



Przeminać

dza, bo nie lubią być gdzie indziej. Przyjmuję to i czuję nieograniczoną wdzięczność. Pielegnujemy w teatrze takie osoby jak najrzadsze orchidee. Teatr by bez nich umarł.

Musi pani czuć piekielną odpowiedzialność – za widzów i współpracowników. Odpowiedzialność wobec współpracowników i zobowiązanie wobec widzów na moment mnie nie opuszczają. Ja jestem prawie wyłącznie dla tego teatru. Odrzucam propozycje z zewnątrz, przyjmuję tylko rzeczy absolutnie wyjątkowe. Jestem tu prawie bez

przerwy, a myślałam zawsze. Nasze tytuły, prawie wszystkie, osiągają 100 przedstawień i więcej. Widownia ma 270 miejsc. Wychodzi ok. 30 tysięcy osób na tytuł. I tyle. Wciąż, a kolejnych premierach, przedstawieniach widzę tych samych ludzi. Nie jest to widownia anonimowa. Dla nich dobiaram repertuar – jestem jak kulturalno-oświatowy na statku. Skoro widzieli to, niech zobaczą coś całkiem innego. Nie myślę o publiczności w ogóle, ale o tych konkretnych ludziach.

Zamiast o publiczności można też czasem pomyśleć o sobie...

Wyrosłam z tego (śmiech). Jestem „wygrana” i zawodowo spełniona. Nie mam ani żalów, ani kompleksów, ani zbyt wielkich pragnień. Dlatego wszystko, co wiem i umiem, mogę oddać temu teatrowi. I przede wszystkim poprosić, żeby inni tu grali i robili cuda. Niech inni święcą tu triumfy, rozwijają się, spełniają marzenia. Ten teatr, nasza widownia i ja będziemy im wdzięczni.

Gra pani mniej...

...bo mam dużo innych obowiązków i po całym dniu pracy nie mam siły. A na zewnątrz? No cóż, nie bardzo mogę stąd wyjść.

I nie ma pani pokusy zrobienia czegoś dla siebie? Beckett to nie był ten przypadek? Piotr Cielecki miał na „Szczęśliwe dni” wspaniały pomysł, całkowicie zbliżony z moimi wyobrażeniami. Dlatego tak chciałam to zagrać. Ale pracuję cały czas, także na zewnątrz. Był przecież film Andrzeja Barańskiego „Parę osób, mały czas”, niebawem będzie „Tatarak” Andrzeja Wajdy, wiosną kręć kolejny film, tym razem debiutanta. W telewizji nie ma niczego, czego bym mogła zalać. Nawet w Teatrze Telewizji, który – jak wiadomo – został zminimalizowany do granic nieprzyzwoitości. Kiedy zrozumiałam, że nie ma już dla mnie miejsca w nowych zmieniających się z szybkością światła, popularnych mediach, zrobiłam Polskę. Pomyślałam, że mnie na te wyścigi w nowych czasach chyba nie stać. Trzeba upuścić bardzo dużo zbyt cennej krwi, żeby w nich odnieść sukces. Dlatego skupiłam się na teatrze – medium elitarnym.

Teatr jest komercyjny, czasem musi pani iść na ustępstwa?

Chyba nie widział pan komercyjnego teatru. Ja widziałam – świetne. Robię teatr środka. Chcę, żeby wszystko, co robimy, miało poziom i było co najmniej zawodowe. Chyba jednak, podświadomie nawet, postawiłam sobie granicę, poniżej której nie schodzę. Są farsy – takie najśladziej z najśladziej – tak śmieszne, że grałabym je od razu. Mam taką jedną na oku, wzięłabym ją natychmiast, ale jest kłopot z prawami autorskimi. Tyle że w takim przedstawieniu musieliby grać sami fachowcy, najlepszy z najlepszych. Zatem owa granica to nie jest sprawą literatury, ale całego projektu – jego jakości. Akto-

rem w Polsce dziś zostać bardzo łatwo, ale czołówka trzyma się mocno i nie zawodzi.

Jednak do „Boga” chciała pani zaangażować Pawła Małaczyńskiego?

Wcześniej namawiałam i Marka Kondrata, i Bogusia Lindę! Szukałam gwiazdy, jak chciał autor. Pan Małaczyński jest fajnym aktorem i ma wielką popularność, ale był zajęty, zagrała Marysia Seweryn i dobrze się stało. W tym teatrze nie gwiazdy są najważniejsze. Liczy się stworzenie odpowiedniej konstelacji – koincydencji ludzi, zdarzeń, tematów. W żartach mówię, że jestem jak hollywoodzki producent. Wybieram temat, a więc sztukę. Do tego dobiaram najlepszego według mnie opowiadacza tematu, czyli reżysera, potem przychodzi pora na aktorów. Z tych zdarzeń powstają rzeczy nieoczekiwane. Choćby konstelacja, która się zdarzyła w „Grubych rybach”. Spotkanie Ignacego

Nie planuję życia prywatnego. Teatr to co innego. Teatr to przedsiębiorstwo. Życie to... życie

Gogolewskiego z dwiema studentkami II roku PWST. To urodziło się samo, nie musiałam w to ingerować. Gwiazdy, o których mówimy, są niezwykłymi aktorami.

Jak Zygmunt Hübner reżyseruje pani teatr. Nie ma w tym żadnej filozofii. Dochodzę do wniosku, że publiczność tego teatru chciała by zobaczyć Janusza Gajosa. Sprawdzam, co zagrał ostatnio, i już wiem, że potrzebuję benefisowej roli, takiej do encyklopedii. I szukam czegoś, w czym mógłby rozkwitnąć. „Romulus Wielki” Dürrenmatta. Pan Krzysztof Zanussi od dawna był z nami w przyjaźni. A zatem byłoby świetnie, gdyby się spotkali, a nigdy wcześniej ze sobą nie pracowali. Żelazna logika i dyscyplina intelektualna Krzysztofa Zanussiego zderzone z siłą, intuicją, mądrością i barwnością Janusza Gajosa obiecują wiele. Teraz trzeba było zebrać innych aktorów, czym zajął się reżyser. Wiedziałam, że z panem Zanussim przyjdą inni, często nieoczekiwani. I to wystarczy. „Wasse Żelaznową” Gorkiego będzie robił Andrzej Wajda. Niewiarygodnie okrutny utwór. Zagram Wasse, padają propozycje na inne role, konstelacja zaczyna się tworzyć... No, ale będzie drogo, więc muszę myśleć o czymś, co zrównoważy ten wysiłek produkcyjny i eksploatacyjny. Liczy miejsce się nie powiększy ani liczby spektakli. Mimo że publiczność gotowa jest kupować bilety.

W dniu śmierci męża zagrała pani „Boską”?

Tak. Uważałam, że jestem Mu to winna.

Powiedziała pani, że teraz niczego nie planuje. A rozmawiamy o premierze z grudnia 2009 roku.

Nie planuję życia prywatnego. Teatr to co innego. Teatr to przedsiębiorstwo. Życie to... życie.

Teatr jest miejscem ucieczki?

Nie wyobrażam sobie teraz życia, gdyby go nie było.

Myśli o nim pani jako o naszym wspólnym dziele?

Ja go wymyśliłam, ale On zrobił wszystko. Dzięki niemu wszystko to działa. Włożył w to niewyobrażalną pracę, często własnym kosztem, odmawiał producentom filmowym, reżyserom. Rezygnował ze swoich ambicji zawodowych. Miałam uczucie, że robi ten teatr dla mnie. Zresztą śmiejąc się, właśnie tak mówił: zabaweczka i przyjemność dla Krysi.

Zatem ma pani teraz dwa domy?

Można tak powiedzieć.

Właśnie opublikowała pani „Moje rozmowy z dziećmi”. Nie ma w tym przekraczania granicy własnej prywatności?

Chyba nie ma. Wszystkie te teksty były drukowane wcześniej jako felietony. Wszystkie z dziećmi autoryzowałam. Starszy syn od razu odmówił w tym udziału, a młodszy zgodził się chętnie. Dziś jest w swoim środowisku kultową postacią (śmiech).

Gasi panią...

Traktuje mnie jak psa, ale to jest urocze (śmiech). Zresztą przecież od początku i ja, i dzieci wiedzieliśmy, że to pójdzie do druku. Chciałabym, żeby czytelnicy zobaczyli, jakimi były bezwzględny krytykami. Po autoryzacji każda z tych rozmów, każdy tekst był pokieroszony bezlitośnie.

Wciąż się pani zapala, a Pawlikowską-Jasnorzewską czyta przez smutek.

Ale to też jest całkiem normalne. Dorastamy, starzejemy się, zmieniamy. Los nas doświadcza, uczy, wypróbowuje. Ważne, żeby żyć harmonijnie, a ja się staram. Nie mam do siebie wielkich pretensji, nieczęsto też nie próbuję ukryć. A teatr daje mi wolność, wolność tworzenia. To jest bezcenne. A z czasem chce się stworzyć coś własnego, podpisać się pod czymś całkowicie.

A zatem Teatr Polonia jako dzieło życia?

Powiedziałam żartem, że jestem tak zmęczona, iż chciałabym trochę przeminać. Nie dlatego, że robię za dużo. Coraz bardziej lubię być sama. Nigdzie już nie chodzę – żadne premiery, przyjęcia. Mnie to nie interesuje. Ale gdy mam tydzień wolnego, nie mogę usiedzieć spokojnie. To cecha wrodzona. Charakter. Rozmawiał Jacek Wakar